

Książka opowiada o fikcyjnych zdarzeniach, osobach i sytuacjach wymyślonych, toteż jakiegokolwiek podobieństwo do ludzi, miejsc i instytucji późnego PRL-u jest przypadkowe, choć oczywiście zamierzone.

Osoby dramatu:

Milicjanci:

Bogdan Zabielski — porucznik MO z Koniecpola

Katarzyna Hardecka — kapitan MO z Częstochowy

Albin Koźlarz — podpułkownik MO szef Komendy Wojewódzkiej w Częstochowie

Stanisław Kalinowski — major z Komendy w Częstochowie

Jacek Drobny — kapitan MO z Częstochowy

Marian Witkowski — major MO, komendant Komendy w Koniecpolu

Witold Małczyński — pułkownik MO z Komendy Głównej w Warszawie

Olgierd Kołtuniak — major MO z Komendy Wojewódzkiej w Rzeszowie

Artyści i członkowie zespołu „Ogniem i skeczem”:

Joasia Adamska — narybek śpiewany

Jurek Bronowicz — aktor, kiedyś dramatyczny, obecnie monologista

Benedykt Fronczak — właściciel firmy Parnas–Art

Andrzej Gruchaj — piosenkarz, ongiś śpiewak operowy

Adam Juraś — parodysta, wcześniej żurnalista, zwolniony
w stanie wojennym jako niezdolny do służby w jedno-
stce zmilitaryzowanej
Mietek Krupa — akustyk
Lucjan Nowicki — organizator
Tomek Racki — piosenkarz z gitarą, ostatni przedstawiciel
znanej w latach 60. grupy muzycznej „Amaranty”
Roma Stein — wokalistka po sukcesach na kilku kontynen-
tach, ale obecnie ogólnie „po”
Krystian Szulc — prezenter telewizyjny
Marek Wełniak — pianista–alkoholik
Trio Cygańskie — Zenek Kawka, Bronek Lichter, Maciek Si-
korski
Kapela — Bodek Mazur (bas), Krzysiek Grot (perkusja), Ja-
cek Polder (skrzypce i wokal)
Eugeniusz Motylak — kierowca z Parnas–Artu

Dziewczyny:

Beata Matula — 23 lata, z Radomia
Agata Chudzyńska — 19 lat, z Lublina
Bożena Maj — 18 lat, z Gdyni
Zosia Bławat — 17 lat, z Łodzi
Zuzanna Lemberg — 20 lat, z Poznania
Halina Paszek — 19 lat, z Wrocławia
Marysia Kotek — lat 19, z Bielska–Białej
Małgorzata Karczykiewicz — lat 17, z Tarnowskich Gór
Monika Zajączkowska — lat 21, z Częstochowy
Kamilla Zabielska — lat 20, z Częstochowy

i inni

I. Wesoly autobus

*Bo nie zna życia,
kto nie spędził dnia na trasie,
wiedz to złamasie,
o każdym czasie...*

— śpiewało się w trakcie bankietów, które Fronczak wyprawił dla swej trzódki, to znaczy w czasach, kiedy bywał jeszcze trzeźwy, sympatyczny i wypłacalny. Zanim jeszcze jego syn zginął na motorze, a żona zabiła się wyskakując z płonącego mieszkania. Kiedy to było? — Dawno temu. Czyli gdzieś przed pół rokiem, no, może przed ćwierć wiekiem.

Trasa koncertowa! Faktycznie, fenomen ze wszech miar interesujący, nad którym, z tego co wiem, nigdy nie pochylił się żaden socjolog kultury czy raczej chałtury. Owa droga znikąd donikąd, najczęściej zdezelowanym autobusem, pełnym rozmaitych życiowych rozbitków, z których każdy był kiedyś znakomitością albo przynajmniej kandydatem na znakomitość, gwiazdą jednego sezonu, triumfatorą jakiegoś festiwalu lub choćby przez krótką chwilę nałożnicą redaktora Filtera, odpowiadającego czas dłuższy za telewizyjną rozrywkę. Ale to było w ramach poprzednich żyć, dziś uczeptieni ekipy

Fronczaka niczym „Tratwy Meduzy” żyją, czekając na swój wielki powrót, na drugą szansę „zaistnienia”, póki co grywając stare przeboje, wytarte jak linoleum w garkuchni, lub mówiąc monologi, które najlepsze swoje czasy miały przed wojną. Drugą Światową albo polsko-jaruzelską. Oczywiście wszyscy gdzieś mają swoje spokojne domy lub przynajmniej mieszkania, pełne starzejących się żon i dorastających dzieci, psów i kotów, którym zdarza się nie poznać pana po powrocie. Wpadają tam w przerwach między koncertami, przeważnie zmęczeni, opryskliwi. Dom, który miał być ich stacją docelową, coraz częściej wydaje się im poczekalnią. Prawdziwe życie jest bowiem tam, gdzie grzmot okłasków i ciepła wódka, dostarczana do hotelu z nocnego sklepu przez portiera, na co dzień konfidenta SB, który, co mu trzeba przyznać, artystów bardzo lubi i robi dla nich wszystko. No, prawie wszystko.

Ale wracają do swych pieleszy, bo gdzieś wracać muszą. Przywożą uciulane pieniądze, jak Jurek Bronowicz, znany z tego, że nie wyda w trasie ani złotówki, lub długi, jak pianista Wełniak, który przepija i przegrywa wszystko, co zarobi — albowiem alkohol i hazard to jego dwie pasje, obie kocha i w obu jest marny. Zresztą czy można nazwać domem upiorne miejsce, w którym zręczliwa teściowa zмага się z jego niepełnosprawnym synem. Bardzo niepełnosprawnym!

Czasami i z pieniędzmi jest krucho — Fronczak, kiedyś skrupulant w rozliczaniu się z artystami, zatracił tę cnotę. Płaci nieregularnie i nie zawsze tyle, ile było umówione. Stosuje zresztą prostą regułę — „gwiazdy” dostają najszybciej, zapchaj dziury, jak Trio Cygańskie, muszą czekać bardzo długo.

Niektórzy twierdzą, że w tym szaleństwie jest metoda. Z miesiąca na miesiąc rośnie inflacja — kupa szmalu sprzed pół roku jest obecnie jedynie pęczkiem bezwartościowych

banknotów. Ale Fronczak buduje dom swojej nowej ko-chance...

Bo nie zna życia...

Któż z przypadkowych uczestników estradowych spędów, owej zorganizowanej frekwencji na imprezach fundowanych przez radę zakładową, ma pojęcie, co dzieje się, kiedy opadnie kurtyna (jeśli takowa jest) i zgasną reflektory? A przecież nie ma trasy, żeby jakaś Beatka czy Grażynka, wycajona przez akustyka, pana Mietka, dorabiającego jako „rozprowadzający”, nie znalazła się na zapleczu sceny, gdzie „panowie z telewizji” akurat ściągają „występowe” spodnie i popijając z gwinta, opowiadają sobie kawały tak grube, że nie przeszłyby nawet przez odbyt najstarszego pederasty. Jeśli nie będzie miała pecha, to nie skończy się na autografie na odwrocie przedartego zaproszenia, tylko artysta — ów przybysz z innego świata, dla zaczarowanej prowincjuszki skrzyżowanie E.T. z Robertem Redfordem — zaprosi ją do kawiarni, potem do pokoju, gdzie, jeśli znajdzie jeszcze dość siły i ochoty, wyłomoce ją na skrzypiącym, nierównym łóżku, w hotelu trzeciej kategorii. I choć nie będzie w sensie technicznym specjalnie lepszy od Wieśka, chłopaka z sąsiedztwa, przed Beatką albo Grażynką otworzy się siódme niebo. Więc będzie przychodzić na kolejne koncerty, coraz śmielsza i gotowa na wszystko. W konsekwencji będzie się różnić w kanciapię za sceną, robić laskę w mroku zalegającym tył rozklekotanego autobusu, będzie dojeżdżać do coraz dalszych punktów koncertowania przepełnionym PKS-em lub opóźnionym osobowym (oczywiście opóźnienie może się zwiększyć albo zmniejszyć), aż zastanie swego idola z jakąś inną Grażynką lub Beatką i romans się skończy, jak każdy nawet najdłuższy monolog. Co ciekawe, kiedy pierwszy raz wejdzie

chybotliwymi schodkami i ciasnym wejściem obok kurtyny, dla niej będzie to dotknięcie nowego świata, dla nich, ludzi od wewnętrznej strony rampy, wyda się tylko przelotnym ptaszkiem, który przysiadzie na ich doskonale znanej wyssepce. Ptaszkiem do wykorzystania, zgodnie ze stałą instrukcją obsługi.

Wszystko bowiem jest przewidywalne jak to, że artysta–parodysta Adam Juraś po koncercie włoży swoje lakierki do starych wełnianych skarpet, a wokalistce Romie Stein rozsypią się kosmetyki... Jak codzienne kace Marka Wełniaka i jak kanapki Jurka Bronowicza, pieczołowicie przygotowane przez żonę na każdy dzień tournée. Na trasie oczywiście zdarzają się rzeczy niezwykle, ale rzadko. Jak przypadek tej baby z pierwszego rzędu w Sopocie, która dosłownie umarła ze śmiechu. Organizator, pan Lucek Nowicki, który słysząc okrzyki: „Czy jest na sali lekarz?!” dobiegł do niej pierwszy (miał w swej karierze, jakby nie było, dwa lata medycyny), mógł jedynie stwierdzić zgon. Jednak śmierć na trasie jest zjawiskiem rzadkim. Drzewa umierają stojąc, a artyści odchodzą na raty, wykruszają się, przeważnie niespiesznie, przechodząc czyściec Skolimowa i dopiero po jakimś czasie, zapomniani, przenoszą się do Krainy Wiecznych Chałtur. Lepiej więc o niej nie wspominać, bo można wypowiedzieć w złą godzinę i skończyć jak pewien mim, który dostał na scenie ataku padaczki (wszyscy myśleli, że to tylko efektowny numer) i wijąc się na podłodze przegryzł kabel pod napięciem paru tysięcy wolt...

Zresztą, bądźmy szczerzy — seks i koncerty to dla „artystów obwoźnych” jedynie skwarki, pływające na powierzchni mętnej codzienności, na którą składa się smutek obskurnych hoteli, koszmar dziurawych dróg, niesprawnych autobusów, niedogranych garderób — i wszystkich innych niedogodności kurnika o nazwie PRL, w którym im, wybrańcom, przy-

szło grać rajskie ptaki. Ale tylko udawać, bo jak wiadomo, żadnych rajskich ptaków w realnym socjalizmie nie ma.

*

— Człowiek na drodze! — zawołał siedzący obok kierowcy akustyk Mietek Krupa.

— Jakiej kategorii człowiek? — zapytał Krystian Szulc swym aksamitnym barytonem, od którego wszystkim miłośnikom teleturniejów od trzydziestu lat miękkie nogi i wilgotniały majtki.

— Kobieta! — powiedział Krupa, który wzrok miał jeszcze lepszy niż słuch i potrafił właściwie sklasyfikować drobną postać w czerwonym bereciku, upodabiającym ją do muchomorka. Dziewczyna, najwyżej dwudziestoletnia, trwała na poboczu pomimo nieprzyjemnie zacinającej mżawki, która coraz bardziej przypominała w śnieżycę.

— No to, ojciec, brać! — rzucił zza jego pleców Adam Juraś, który na moment oderwał się od rozwiązywanej krzyżówki, rozgryzanej systematycznie w świetle umocowanej do czoła latarki.

Kierowca rzucił okiem na Lucjana Nowickiego, ale nie słysząc sprzeciwu, ostro przyhamował.

— Panowie, czy wy musicie tak zawsze...? — zaprotestowała Joasia Adamska, wiotka blondyneczka, wyglądająca na czternaście lat. Inna sprawa, że jak twierdził poufnie Juraś, który na poprzedniej trasie usiłował ją (zresztą bezskutecznie) zaliczyć, jej umysł zatrzymał się na poziomie lat jedenastu.

— Musimy, Joasiu, musimy — rzekł jej sąsiad z drugiej strony przejścia, Tomek Racki. — Skoro ty postanowiłaś oszczędzać swoją cnotę na emeryturę, jesteśmy skazani na przydrożne namiastki...

Piosenkarka splonęła uroczym pąsem, a kierowca, pan Gienio Motelak, otworzył drzwi...

— Przepraszam, czy panowie jadą może do Częstochowy?
— zapytała nieśmiało autostopowiczka.

— Oczywiście, na pielgrzymkę! — zażartował akustyk, który niesłuchanie wyrobił się w artystycznym towarzystwie.

— Zapraszamy do środka.

Dziewczyna, niebrzydka, drobnokoścista szatynka, weszła do autobusu, a kierowca zapalił światła. Nagromadzenie w jednym miejscu tylu znanych twarzy, które zwróciły się w jej kierunku sprawiło, że kompletnie zaskoczona zamarła.

— Ależ prosimy dalej. — Krystian Szulc błyskawicznie wszedł w rolę przedwojennego dżentelmena (szczególnie dobrze mu to wychodziło, kiedy współczująco tłumaczył uczestnikowi teleturnieju, że właśnie przegrał i może opuścić studio). — Zapraszamy dalej! — ciągnął ojcowskim tonem. — W autobusie jest mnóstwo wolnych miejsc. A każde gwarantuje dobre towarzystwo. Kolega Adam Juraś — wskazał ręką krępego mężczyznę o ruchliwej twarzy małpy — chętnie zapozna panią z techniką parodii, maestro Marek Wełniak nauczy podstaw palcówek... na fortepianie. Tomek Racki pokaże jak chwytać za gryf, a Jurek Bronowicz być może podzieli się kanapką, przeznaczoną na dzień dzisiejszy.

Dziewczyna rozglądała się cokolwiek spłoszona, najchętniej usiadłaby obok młodej piosenkarki, ale wolne miejsce zajmował okazałych rozmiarów kuferek z kosmetykami. Natomiast koniec autobusu, zawalony aparaturą, przed którą miejsca okupowała grupa wyraźnie rozweselonych mężczyzn, budził w niej nie wiedzieć czemu lęk. Z kolei sam Szulc siedział razem z jakąś starszą panią. Bez makijażu i peruki Roma Stein wyglądała na własną babkę. Dziewczyna na moment poczuła pokusę, aby usiąść przy Jerzym Bronowiczu, którego bujne kruczoczarne loki i elegancki wąsik upodabniały do siedemnastowiecznego muszkietera. Aktor nic nie mówił, ale wpatrywał się w nią intensywnie, tak że czuła

się jak mucha wręcz przyciągana przez śmiercionośny lep... Niedoczekanie!

Wybrała miejsce przy smukłym, małowównym mężczyźnie, o bladej twarzy i ciemnych, falujących, być może farbowanych włosach, który wydał jej się znajomy.

— Mogę tu?

— Doskonały wybór — pochwalił Szulc. — Przy mistrzu Gruchaju nic pani nie grozi. A gdyby nawet coś groziło, wystarczy powiedzieć: „Andrzej nie Gruchaj!”.

Rozległ się śmiech, światła przygasły i autobus ruszył.

— A swoją drogą, skąd się pani wzięła sama na tym pustkowiu? — pytał dalej prezydent. — Wyglądała pani jak Czerwony Kapturek w oczekiwaniu na Bardzo Złego Wilka.

— Niewiele się pan pomylił. — Dziewczyna okazała się bardziej rezydentna niż początkowo sądzili. — Wracalam od babci, a jej sąsiad, który podjął się odwieźć mnie do domu, okazał się rzeczywiście Wilkiem w Owczej Skórze. Koniecznie chciał mnie zawieźć do pobliskiego lasu, aby zademonstrować mi uroki naturalnego środowiska... Nie byłam zainteresowana. Zauważywszy, że zamierza skręcić, zagroziłam, że albo się zatrzyma, albo wyskoczę.

— I wyskoczyła pani? — zapytał Juraś.

— Nie musiałam. Zaczął gadać, że tylko żartował i już teraz pojedziemy prosto do domu, ale nie odzyskał mego zaufania. Musiał zatrzymać auto i mnie wypuścić.

— Ambitna dziewczyna — skomentował Szulc. — A tak przy okazji, jak ma pani na imię, bo ja Krystian.

— Kamilla. W dodatku przez dwa „l”. Głupie i pretensjonalne, prawda?

— Przeciwnie, urocze.

— Czytałam kiedyś powiastkę o pięknej młodej wampirzycy — wtrącił przez ramię Juraś. — Tyle że tamta nazywała się Karmilla.

— Rrrrestauracja! — nieoczekiwanie zaryczał z tyłu basista Bodek. — Rrrrestauracja...!

— O co chodzi? — przestraszyła się dziewczyna.

— Kolega muzyk dopomina się o wieczorną porcję stawy — poinformował ją słynny ongiś bas operowy.

— W samej rzeczy, propozycja nie jest głupia — zgodził się Szulc. — My tu sobie gadu-gadu, a panie od rana niczego ciepłego w ustach nie miały...

— Głupi żart! — syknęła Joasia Adamska.

— Do kroćset, gdzie tu może być najbliższy pub? — tym razem w ciemności rozległ się głos do złudzenia przypominający bas Jerzego Waldorfa.

— W Berlinie, w Berlinie, drogi mistrzu — zabrzmiało charakterystyczne „r” Lucjana Kydrrrryńskiego. Najwyraźniej Juraś postanowił popisać się swoim żelaznym repertuarem.

— W hotelu obiecali czekać na nas z kolacją — odezwał się uprzejmym tonem organizator Lucjan Nowicki. — Za pół godziny powinniśmy być na miejscu, więc teraz nie powinniśmy się zatrzymywać.

— Tylko jak doczekamy do tej pory — odezwał się ktoś z Tria Cygańskiego.

— Przezorny zawsze ubezpieczony — powiedział perkusista Krzysiek. I po chwili rozległ się charakterystyczny dźwięk odbijanej butelki.

Jeszcze chwila i szyjka flaszki znalazła się przy ustach autostopowiczki.

— Dama wypije? — zapytał Maciek, Cygan nr 1 (faktycznie Białorusin spod Zielonej Góry), który nagle pojawił się na przedzie autokaru.

— A co to jest?

— Jarzębiaczek. Zdrowy, ludowy, na komponentach krajowych.

— Ale ja nie piję — wybąkała.

— A powinna pani — włączył się jej milczący dotąd sąsiad. — Jest pani przemoczona, zziębnięta...

— Głęboka mądrość przemawia przez kolegę Andrzejka — poparł rekomendację śpiewaka Szulc. — Zawsze lepiej się upić, niż nabawić grypy.

Wypiła. Alkohol trochę zapiekł w gardle, ale Roma Stein litościwie podała jej odrobinę herbaty w nakrętce od termosu.

— Oswaja się — poszła informacja do tyłu autobusu.

Pięć minut potem, przy kolejnym nawrocie butelki, już nie trzeba było perswadować.

— Jak obstawiasz? — Do ucha Marka Wełniaka pochylił się Bronek Lichter przezywany Cyganem Numer 2, w istocie wnuk rabina z Kalisza. — Maciek twierdzi, że puknie ją Juraś, Krzysiek jest za Rackiem...

— A siebie nie liczysz?

— Co ja mogę, biedny żuczek? — Bronek oblizal wąskie usta. — Mogę liczyć jedynie na spady z łoża wielkich tego świata.

*

Kiedy autobus zajechał przed motel w Częstochowie, Kamilla była już całkiem nieźle rozgrzana i zaprzyjaźniona z ze-
społem, toteż bez większych oporów dała się zaprosić na kolację. Organizator Lucek Nowicki wspaniałomyślnie odstąpił jej swoją porcję, bo miał do załatwienia jeszcze jakieś sprawy na mieście, związane z jutrzejszym koncertem w sali częstochowskiej Filharmonii.

— W zasadzie powinnam jechać do domu — opierała się *pro forma*.

— Zasady są po to, żeby je łamać... — zaśmiał się Tomasz Racki. A zaraz potem zrobił swoją ulubioną minę zagubionego chłopca, na którą łapały się wszystkie kobiety. Przynajmniej w latach sześćdziesiątych.

Pod koniec kolacji dziewczyna była po prostu wniebowzięta. Jeszcze nigdy w życiu nikt nie traktował jej — skromnej maturzystki, która nawet nie dostała się na studia — jak królowny. To znaczy, nawet chciała studiować, ale tak długo wahała się między medycyną, co było marzeniem matki, a prawem, na co naciskał starszy brat, że zrobiło się za późno, aby dobrze przygotować się do egzaminów. W rezultacie nie startowała nigdzie i nie chcąc być ciężarem dla matki, poszła na praktykę do zaprzyjaźnionej fryzjerki. Teraz czekała ją perspektywa zmagania się do końca życia z ludzkim owłosieniem, łupieżem i łojotokiem...

Ale dziś nie myślała o tym. Dotykała moherowego sweterka, który podobnie jak spódnice pożyczyła jej Roma Stein, zauważywszy, że jej ciuchy są kompletnie przemoknięte.

Mój Boże. Wielka Roma Stein! Rodzice mieli wszystkie jej płyty. A kiedy powie babci, miłośniczce muzyki poważnej, że siedziała obok słynnego basa Opery Krakowskiej, Gruchaja, staruszka popłacze się z wrażenia.

I jacy oni wszyscy byli mili, opiekuńczy, jak wznosili toasty na jej cześć.

Kompletnie zapomniała o prozie życia — Juraś zabawiał ją monologami, Racki komplementował, a nawet pianista Wełniak, który wpatrywał się w nią dużymi, smutnymi oczyma, wydawał się być gotów przychylić jej nieba. W pewnym momencie wstał i podszedł do pianina, a po chwili hotelową restaurację wypełniły nieśmiertelne nuty Fryderyka Ch.

Jednak mistrzem ceremonii pozostał wytworny pan Szulc — idol jej rodziców. *Arbiter elegantiarum*, przykład nienagannyh manier, kindersztuby i *savoir vivre'u*.

Kiedy przenieśli się do sali telewizyjnej, grono trochę zmalało — Andrzej Gruchaj wydawał się zupełnie niezainteresowany Kamillą, a Bronowicz najwyraźniej nie lubił tłoku.

Była zdumiona, że aktor, na scenie żywiołowy jak tornado, reagujący na każde słowo lub okrzyk z widowni i brawurowo transponujący przedwojenne szmoncesy na realia późnego PRL-u, poza sceną prawie w ogóle się nie odzywał. Powściągliwie dystansował się od żartów kolegów... Może dlatego, że praktycznie niczego nie wypił.

— Boi się o swój talent! — poinformował ją szeptem Juraś. — Choć, prawdę powiedziawszy, stracił go już kilka lat temu, kiedy zamiast grać Makbeta czy Artura Ui, wybrał rolę estradowego szmiruska. Jak my wszyscy.

— Ale dlaczego to zrobił? — zdumiała się Kamilla, pamiętająca go z powtórek w Teatrze Telewizji.

— Dla chleba, pani, dla chleba... — zanucił. — Naturalnie z szyneczka. A poza tym, wszyscy jesteśmy po trosze sierotami z woli generała Ślepowrona. Gdyby nie on, ja dalej byłbym dziennikarzem w Komitecie do Spraw Radia i Telewizji, a Jurek brylowałby w poniedziałkowym teatrze...

Nie wiadomo, czy monologista usłyszał tę recenzję, w każdym razie widząc, że jego wzrokowy lep na częstochowiankę nie zadziałał, zmył się dosyć szybko. Wkrótce po nim pani Stein stwierdziła, że musi iść spać i pożegnała się.

— Ale jak ja zwrócę pani ubranie?

— Drobiazg, możesz je zachować!

Tymczasem Juraś nie odstępował dziewczyny ani o krok, opowiadając, jak jego umiejętność imitacji głosów, od dziecka wykorzystywana dla rozveselania znajomych, stała się zawodem. W międzyczasie pan Krystian wspaniałomyślnie zabrał mokre ciuchy Kamilli, przeniósł je do siebie i rozwiesił na kaloryferze w łazience.

— Wkrótce wyschną i w każdej chwili będziesz mogła je zabrać — powiedział.

Nie miała najmniejszego powodu, by mu nie ufać. Bardziej bała się Jurasia i jego coraz bardziej lepkich komple-

mentów, widziała też samczy głód w oczach Rackiego, którego zespół był legendą prywatek lat sześćdziesiątych.

Skądiną na jednej z nich została poczęta sama Kamilla. Ale do Krystiana, który ku jej zachwytowi poprosił, aby mówiła mu po imieniu, miała nieograniczone zaufanie... Na tle reszty zespołu Szulc emanował solidnością.

I właściwie trochę się zdziwiła, kiedy, gdy inni wykruszyli się z popijawy, a Juraś na swoje nieszczęście musiał wyskoczyć do toalety, Krystian dość bezceremonialnie wziął ją za rękę i zaprowadził do swojego pokoju. Nie miała siły protestować, cały świat tańczył i wirował, toteż marzyła o jednym — żeby tylko nie puścić pawia.

— Rozbieraj się — powiedział tak sugestywnie, jakby zapraszał ją do kabiny dźwiękoszczelnej, w której zadawano pytania za najwyższą stawkę. — Chyba że się wstydzisz?

Za nic nie przyznałaby się TAKIEMU człowiekowi, że się wstydzi, więc posłusznie ściągnęła majtki i stanik, po czym dała się zaprowadzić pod prysznic.

— Co pan chce ze mną zrobić? — wyjąkała.

— Nic wielkiego. Tylko ślicznie cię wypierdolę, dziecinko.

*

Telefon zadzwonił przed ósmą.

Na wpół przebudzona, słyszała jak Krystian podnosi słuchawkę, a następnie rozmawia z kimś, do kogo mów *per* myszko, płaszczy się przed nią, wspomina, że tęskni, nieustannie komplementując. Lew z trasy okazał się kocurem domowym.

Kamilla skorzystała z okazji, wymknęła się spod kołdry i wpadła do łazienki, gdzie suszyła się jej garderoba. Gniew, że uległa tak łatwo, walczył z poczuciem satysfakcji, że taki człowiek zainteresował się WŁAŚNIE nią! — Inna sprawa, że dotąd miała jedynie dwa przelotne, nieudane romanse. Za

każdym razem była przekonana, że znalazła odpowiedniego kandydata — jeśli nie na męża, to na oficjalnego narzeczonego — i w obu wypadkach musiała poniewczasie zauważyć, że została zrobiona w trąbę. Tyle że teraz trudniej będzie jej usprawiedliwić chwilę szaleństwa i z niepokojem pomyślała, co powie księdzu Leonowi podczas najbliższej spowiedzi (szczególnie religijna nie była, ale poddawała się regularnym praktykom, aby sprawić przyjemność matce).

Odczekała, aż rozmowa Szulca z panią Szulcową dobiegnie końca. Słyszała czułe słówka i przesyłane pocałunki, wreszcie trzask słuchawki opadającej na widelki.

Wyszła z łazienki. Goły Szulc siedział na łóżku, jednak w świetle dnia nie wyglądał imponująco, z obwisłą piegowatą skórą, siwą mierzwą na piersi, żalosnym organem przypominającym przeterminowanego kabanosa i miną gracza, który odpadł z teleturnieju w pierwszej rundzie...

Nie spodziewała się z jego strony wiele. Ot, że wstanie, przytuli, pocałuje na dzień dobry, zaproponuje, żeby wspólnie zjedli śniadanie... Ale nic z tych rzeczy. Krystian chyba miał kaca. Alkoholowego. A może również moralnego?

— To ja będę już szła... — powiedziała, dając mu szansę, żeby ją powstrzymał.

Nawet nie wstał. Nie popatrzył. Może zresztą oglądał ją wcześniej. Kamilla nie miała złudzeń co do swej urody, a po szalonej nocy musiała wyglądać gorzej niż zwykle.

Ruszyła ku drzwiom.

— Poczekaj — usłyszała naraz.

Odwróciła się myśląc: „A jednak!”

Gotowa była, tak jak stała, wskoczyć z powrotem pod kołdrę i kontynuować seksualną gimnastykę z facetem, który mógłby być jej dziadkiem...

— Nie potrzebujesz na taksówkę? — zapytał konferansjer, nadal unikając jej wzroku.

— Nie potrzebuję.

Wybiegła z pokoju pędem, minęła recepcję, bojąc się, że portier zatrzyma ją, może nawet wylegitymuje. Ale nie zwrócił na nią uwagi. Był przyzwyczajony. Którejś nocy kilka lat wcześniej dwie wielbicielki wyskoczyły przez okno od kanadyjskiego impresaria kompletnie nagie, wołając „świnia, świnia” i do tej pory zachodził w głowę, o co mogło tym podfruwajkom chodzić.

Kamilla wybiegła przed motel. W myślach przeliczyła pieniądze. Na taksówkę powinno wystarczyć...

*

Jej ucieczka nie uszła uwagi zabójcy. Był rozczarowany. W świetle dziennym nie prezentowała się aż tak interesująco.

„Za brzydka i wcale nie taka młoda” — pomyślał. I wyrzucił ją ze swej pamięci.

*

Koło południa z zespołem spotkał się Benedykt Fronczak. Sam szef i boss zstąpił pomiędzy swój lud. Kto jeszcze nie wstał, został przez Lucka Nowickiego obudzony i wezwany do hotelowej kawiarni.

— Rzadko to się zdarza, ale musiałem kompletnie zmienić plany — powiedział Fronczak. — Wpadła nam seria dodatkowych imprez Barbórkowych. Oprócz Sosnowca i Katowic w piątek i sobotę, będziemy mieli w niedzielę szóstego jeszcze dwie podwójnie płatne imprezy w Tarnowskich Górach...

— A Częstochowa? — zapytała Roma Stein. — Na przyszłą niedzielę zaprosiłam gości...

— Przecież się nie rozerwiemy. Chwilowo ją sobie odpuszczimy, a resztę koncertów dogramy w styczniu.

— W tych Tarnowskich Górach będą dwa koncerty w jednym miejscu? — upewniał się akustyk. — Chodzi o to, żebym miał czas na rozstawienie sprzętu.

— Będą w dwóch — wtrącił się Nowicki. — Ale niech cię to nie martwi, górnicy zapewnili, że będą mieli własną aparaturę.

— Czy oznacza to, że przed świętami dostaniemy zaległą kasę? — zapytał Bronek Lichter z dociekliwością właściwą jego nacji.

Odpowiedź nie padła, co więcej, Fronczek powiódł czujnym okiem po sali. I nie był to wzrok zapowiadający rychłą wypłatę.

— A gdzie Mareczek? — zapytał. — Gdzie nasz wirtuoz fortepianu?

— Dzwoniłam do niego rano, bo mieliśmy mieć próbę — odezwała się Roma Stein.

— No i?

— Nie odbierał.

— Cholera, czyżby znowu zachlał? — zdenerwował się szef Parnas-Artu.

— Niemożliwe. Przecież się zaszył — zauważył Juraś.

— Mógł wydłubać — mruknął Bronowicz. — Nauka notuje takie przypadki.

— Sprawdzę, co z nim. — Lucjan Nowicki podniósł się z miejsca.

Na parę minut zapadła nieprzyjemna cisza.

— W najgorszym razie polecimy z playbacku — powiedział Krupa.

— Z playbacku?! — rozdarła się Roma. — Ludzie płacą, żeby mnie słuchać na żywo!

— Nikt za nic nie płaci — próbował uspokoić ją boss. — Najbliższe imprezy są glejtowe, niebiletowane.

Wyszła, trzaskając drzwiami. Po drodze minęła Nowickiego. Nie miał szczęśliwej miny.

— Popłynął! Jest kompletnie nieprzytomny — powiedział do zebranych.

— No to na co czekasz, weź go do szpitala, niech go tam odtrują! — ryknął Fronczak.

— Chyba nie da rady postawić go na nogi przed dzisiejszym występem.

— No to niech przynajmniej będzie na chodzie jutro... Albo zadzwoń do Kurzyńskiego.

— Jest w Olsztynie.

— A Marczak?

— Pojutrze wyjeżdża na statek. Złapał chałturę na Karibach.

— Ale dziś ma być tutaj. Zapłacę podwójnie. Albo potrójnie...

— Z playbacku to ja mam tylko jedną piosenkę — powiedziała zaniepokojona Adamska.

— Nie szkodzi. Resztę zaśpiewasz z Cyganami. Gitary to też instrumenty. Maciek, Bronek, zróbcie z nią próbę.

— Się robi, szefie!

*

Parę dni później wystąpili w Tarnowskich Górach. Nowy koncert, stare teksty i ten sam zmiętoszony facet w strażackim mundurze, wygłaszający przed spektaklem wykład o ochronie przeciwpożarowej — stanowiący pretekst całego koncertu. Wełniak wrócił do siebie i znów popisywał się fortepianowymi pasażami. Do Jurasia dojechała jego fanka — Marta, licealistka z Gliwic, której poderwaniem chełpił się przed kolegami. Racki już drugą noc mozolił się nad pewną domorosłą poetką, która zjawiała się z zeszytem pełnym własnych „poetycznościów”, jak mówiła. Wiersze były ponoć

upiorne. Ale miała niezły cyc i zero zahamowań, więc Tomek bez wahania zaprosił ją do pokoju, by pokazać klucz wioliny.

— I jaka była? — pytał następnego dnia Bronowicz.

— Wspaniała, tylko trochę ciasna — zwierzył się piosenkarz. Dużo później, kiedy usiłował spisywać wspomnienia, zorientował się, że zapomniał nawet jej imienia, za to przezwisko „Ciasna” wracało dość natrętnie.

Dobry humor nie opuszczał również Gruchaja. Otrzymał list od przyjaciela dyrygenta, pięknie pachnący, w różowej kopercie. Za to Krystian Szulc chodził napęczniały irytacją, jak gradowa chmura, bo miała go odwiedzić na trasie żona.

— Dlaczego się tak denerwujesz — dziwił się Krzysiek (Cygan nr 3). — Taka przystojna kobieta i w dodatku młodsza od ciebie o dwadzieścia lat...

— I trzydzieści lat temu to rajcowała. Teraz mam wrażenie, że jest ode mnie tyle samo starsza — odpowiadał stary prezenter.

*

*Pomiędzy deszczem kartek kalendarza
zdarza się czasem taki jeden dzień,
który powinien często się powtarzać —
ale przeważnie nie powtarza się...*

— śpiewała Roma Stein.

Marek Wełniak znał ten tekst na pamięć. Podobnie jak cztery pozostałe. Akompaniował podstarzałej gwiazdzie setki razy, jednak ta piosenka za każdym razem wywoływała w nim dziwny dreszcz, niepokojący skurcz serca. Uświadamiała mu własne przemijanie? Życiową klęskę?

*Życie jest krótkie,
jak w polu ognisko,*

*jak blask twej twarzy widzianej en face;
ziemia jest blisko,
niebo jest nisko,
wczoraj byliśmy,
dzisiaj nie ma nas.*

— Piękna — pomyślał. — Prawdziwe dzieło sztuki. Ale może głupia.

Dziewczyna, w którą się wpatrywał, siedziała w drugim rzędzie, trzy, może cztery metry od jego hammonda. Wydawała się chłonać występ całą sobą. Rozchylone usta, błyszczące oczy, pierś w szmaragdowym sweterku podana do przodu... Widać ją było w całej okazałości, ponieważ miejsce przed nią było wolne.

Ile mogła mieć lat? Siedemnaście, osiemnaście. Zapewne marzyła, że kiedyś zostanie drugą Romą Stein, podbije Opole, Sopot, może wystąpi na festiwalu w Warnie... Gdyby jej talent (jeśli takowy miała) choć w części dorównywał jej urodzie — było to dość proste. Dobry kompozytor, nie najgorszy tekściarz, ech...

„Gdybym był młodszy, dziewczyno, gdybym był młodszy!”

Zaschło mu w gardle i złapał się na tym, że myśli o butelce ukrytej w torbie za organami. Byłe do finału!

Przez zamyślenie zapomniał o repetycji. Błyskawica ciśnięta wzrokiem przez Romę nieomal przyszpiliła go do klawiatury. Piosenkarka desperacko zaczęła *acapella*. Dogonił ją i wspólnie przyspieszali brawurowo aż do końcowej eksplozji dźwięków. Grzmot braw był dowodem, że nikt z publiczności nie zauważył pomyłki.

Dziewczyna w szmaragdowym sweterku też klaskała. Uniosła szczupłe ręce wysoko ponad głowę i biła brawo, tak jakby tańczyła w dyskotecie. Emanowała z niej siła młodości,

życiowa energia zdolna poruszyć świat, a przynajmniej jego męską część. Znów dopadło Marka ssanie w dołku. Musiał się napić!